

19181919192019211922192319241925
19261927192819291930193119321933
3193419351936193719381940194119
42194319441945194619471948194
9195019511952195319541955195619
571958195919601961196219631964
19651966 **SKĄD** 1967196819691970
197119721973197419751976197719781
97919801981 **JESTEŚMY** 19821983
198419851986198719881989199019
911992199319941995199619971998
19992000200120022003200420
0520062007200820092010201120
122013201420152016201720182019

niepodległa

POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

Wydarzenie zostało przygotowywane wspólnie z partnerami



Dofinansowano ze środków Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017-2022
w ramach Programu Dotacyjnego „Niepodległa”
oraz ze środków Gminy Miasto Szczecin.



SKĄD

JESTEŚMY

Autorzy pomysłu:

Moni Yossef, Romana Krzewicka i Antoni Sobolewski

Przedstawienie *Skąd jesteśmy* przygotowali:

Reżyser: Adam Kuzycz-Berezowski

Mapping/projekcje: Kinga Dalska

Muzyka: Piotr Klimek

Dramaturg: Justyna Litkowska

Kostiumy: Agnieszka Miluniec

Obsada: Barbara Lewandowska, Wojciech Sandach, Jacek Piątkowski,
Adam Kuzycz-Berezowski

Opracowanie katalogu:

Krzysztof Drumiński, Jarema Piekutowski, Andrzej Łazowski

Autorzy zdjęć:

Andrzej Łazowski (strony: 15, 17, 22, 24, 27, 29, 30, 32, 54, 56, 78, 81),

Konrad Wielgoszewski, Beata Stańkowska, Grzegorz Skorny,

Antoni Sobolewski, zdjęcia na stronach 8, 44, 68 pochodzą z archiwów
Narodowego Archiwum Cyfrowego

Autorka gry:

Romana Krzewicka

Wywiady:

Aleksandra Bogusławska; Joanna Olejniczak, Krzysztof Siewiera, Elwira

Sokołowska, Paweł Wierzchowiec, Adam Hlib, Beata Babiak, Anna Sobolewska

Autorka reportaży:

Małgorzata Furga

www.skadjestesmy.cpt.org.pl

ISBN: 978-83-950051-2-1

Copyright: Stowarzyszenie CPT i Autorzy



Wstęp

Od piętnastu lat realizujemy dla Was i wspólnie z Wami działania wokół tożsamości, czasu i przestrzeni. Zaczynaliśmy skromnie od listu w sprawie utworzenia nowej siedziby Teatru Lalek Pleciuga. Przez te lata współtworzyliśmy Nową Amerikę, ekonomię społeczną czy też działania artystyczne wokół zalewu szczecińskiego. Dokumentowaliśmy również działania lokalnych liderów i mieszkańców pomorza zachodniego. Nasze działania są niezwykle różnorodne i przeplatają się między sobą. Dlatego też współtworzymy modele dla rozwoju rynku pracy czy też rozwoju społeczeństwa obywatelskiego. Szczególne miejsce w naszych działaniach zajmują wypracowywane przez nas innowacje społeczne oraz ogólnopolski projekt dotyczący zdrowia psychicznego zatytułowany Mij to z głowy. Od lat też współtworzymy Targi Ekonomii Społecznej. Nasze najnowsze dzieci to projekt Mikrocentrum Europy oraz model badania efektywności powiatowych urzędów pracy. Jako, że działamy wspólnie z Wami już 15 lat postanowiliśmy przygotować „coś” specjalnego.

„Coś” specjalnego zrodziło się w Akko (Izrael) podczas porannej rozmowy Moniego Yossefa – dyrektora teatru w Akko, Romany Krzewickiej i Antoniego Sobolewskiego ze Stowarzyszenia Czas Przestrzeń Tożsamość.

Ku zdumieniu uczestników rozmowy okazało się, że losy ich rodzin są nie tylko bardzo podobne ale i są nawet miejsca wspólne. I dzięki tej rozmowie i kawie, tak narodziła się idea projektu.

W ramach projektu „Skąd jesteśmy” poprzez pokazanie historii 20 rodzin staraliśmy się znaleźć odpowiedź na pytanie skąd jesteśmy?. Szukaliśmy odpowiedzi nt. swojej tożsamości indywidualnej i zbiorowej i miejsca w niepodległości jako wartości nadrzędnej. Poszukiwania te, z pomocą wolontariuszy-seniorów, zaczęły się od wywiadów z 20 rodzinami, każda z rodzin została sfotografowana na kanwie tych relacji powstał spektakl teatralny, katalog oraz wystawa. Na bazie projektów powstały również reportaże radiowe emitowane w Polskim Radiu Szczecin. Dodatkowo w ramach projektu powstała gra karciana pt. „Skąd jesteśmy”. Gra ta zachęca rodziny do odkrywania własnej historii i tożsamości oraz wpływu rodziny na odzyskiwania, budowanie i utrzymywanie niepodległości. Ten projekt jest idealnym podsumowaniem 15 lat naszej działalności w obszarze czasu, tożsamości i przestrzeni.



Z Syberii przez Mozambik do Szczecina. Rodzina Biełousów

Pan Leszek Biełous ma dziś 87 lat, ale historia rodziny, o której opowiada, sięga ponad 300 lat wstecz, do roku 1703, kiedy to jego prapradziadek ze strony ojca z Dzikich Pól uciekł na północ i osiadł nad Dźwiną, przy granicy z Rosją. Legenda rodzinna głosi, że wygrał w karty 180-hektarowy folwark. Rodzina matki pana Leszka pochodzi z Krzepic pod Częstochową. Tam właśnie poznali się późniejsi państwo Biełousowie, gdy budowano kolejową linię węglową ze Śląska do Gdyni, a przy budowie tej pracował ojciec pana Leszka, inżynier kolejowy. Ojciec studiował wcześniej w Petersburgu, był uczestnikiem wojny domowej w Rosji po stronie białych.

Po ślubie rodzice pana Leszka zamieszkali w Poznaniu. Wojna zastała ich na Wileńszczyźnie. Rosjanie zatrudnili ojca w kolejnictwie, gdzie ukrył się i służby, które poszukiwały polskich inteligentów, nie mogły go znaleźć. Mamę z trójką dzieci (w tym z panem Leszkiem) wywieźli na Syberię, gdzie przeżyli gehennę zesłania, chorób, głodu. Potem czekała ich prawdziwa podróż dookoła świata. Po umowie Sikorski–Stalin wyjechali (z Obłasti Ałtajskiej) do Kazachstanu, Uzbekistanu,

Przepustki prześladową mnie przez całe życie – np. podczas pobytu służbowego w Moskwie miałem przepustkę do poruszania się po piętrze hotelu oraz przepustkę na wyjście do miasta, a taką jak ta druga miałem też w Polsce, w stanie wojennym.

(Leszek Biełous)

z armią Andersa pojechali do Persji, potem były Indie, Mozambik, Rodezja Płd. (dzisiaj Zimbabwe), Rodezja Płn. (dziś Zambia), Mozambik, Włochy. I wreszcie Pomorze Zachodnie, gdzie przybyli: statkiem z Mozambiku do Genui, pociągiem osobowym 3 klasy do Międzylesia i stamtąd pospiesznym 1 klasy do Szczecina.

Mogli wybrać inaczej – jechać do Kanady, Australii lub Wielkiej Brytanii. Matka pozwoliła Leszkowi i jego siostrze zagłosować. Wybrali Polskę. Gdy przyjechali do Szczecina, był to 30 kwietnia 1948 r. Następnego

W Afryce na ścianie miałem duży portret Marszałka Piłsudskiego. Jestem pełen szacunku dla tego człowieka i to z nim wiąże mi się słowo niepodległość.

(Leszek Bieleus)



dnia odbyła się defilada pierwszomajowa. Dla Biełousów była szokiem, który dopiero potem stał się przykrym, egzekwowanym obowiązkiem.

Wkrótce potem rodzice pana Leszka odnaleźli się przez Czerwony Krzyż. Tata już od 1946 roku pracował w Szczecinie na kolei. Mieszkali najpierw nieopodal dworca, przy ulicy Kolumba. 16-letni wówczas Leszek zachwycony był, że wszędzie mówi się po polsku, a w kiosku są polskie gazety. To było uczucie radości, że jest wśród Polaków.

Z entuzjazmem włączył się w bieżące życie. Chciał budować nową Polskę. Z tego entuzjazmu zapisał się do Związku Młodzieży Polskiej, jednak wskutek jakiegoś incydentu wyrzucono go. Gdy zdał maturę w szczecińskim „Pobożniaku” (LO II), musiał ratować swoją opinię po wyrzuceniu z ZMP, by móc iść na studia, więc kilka miesięcy przepracował w Ochotniczych Hufcach Pracy. Ostatecznie podobnie jak ojciec wybrał studia techniczne. Skończył Politechnikę Krakowską i wrócił do Szczecina, gdzie pracował między innymi w Fabryce Motocykli Junak i w Fabryce Kabli w Załomiu. To było jego ostatnie miejsce pracy.

Mimo że przez pewien czas był w partii, to w komunizmie nie czuł się wolny. Pamięta czołgi na peronie w Poznaniu, w czerwcu 1956. W 1980 roku wstąpił do Solidarności; był już wtedy dyrektorem. Wspomina też codzienne życie – żona z dziećmi w Pobierowie od czerwca do września, a on dojeżdżał w weekendy, podróżując po całej Polsce z przyczepą kempingową.

Dziś pan Leszek ma 2 synów, wnuki i prawnuki. Mieszkają w Szczecinie. Żona nie żyje od 5 lat. Była technikiem chemikiem, pracowała w laboratorium katedry Łąkarstwa Wyższej Szkoły Rolniczej w Szczecinie. Pan Leszek wspomina, że gdy dużo pracował, żona mawiała: „Dzieci są moje, ja je urodziłam i wychowałam, ciebie nigdy nie było, ty jesteś tylko ojcem”. Czuje się polskim, szczecińskim i zachodniopomorskim patriotą.

— — — — —

Kiedy rozpoczynałem budowę domu w 1966 roku w Szczecinie, mówiono mi, że tutaj nikt nie buduje, ale ja wiedziałem, że tu osiadłem, tu jest moja rodzina, moja ojczyzna i tu będzie mój dom.

(Leszek Biełous)



Powiew górskiego powietrza. Rodzina Bogusławskich

Rodzina Bogusławskich osiadła w Szczecinie wraz z końcem wojny. Maksymilian Bogusławski, lekarz, pochodzący z Warszawy, w czasie wojny służył w batalionie medycznym. Jako oficer trafił do jednego z sowieckich obozów jenieckich, skąd udało mu się zbiec, jednak niewiele o tym wiadomo – w domu nie rozmawiało się na ten temat.

Później, wraz z frontem przesunął się na zachód, aż do forsowania Odry. U schyłku wojny otrzymał rozkaz, aby współorganizować służbę zdrowia na terenie miasta Szczecin. Był jednym z pierwszych pracowników Szpitala Wojskowego przy ul. Piotra Skargi.

Swoją żonę, Zofię Mosińską, Maksymilian Bogusławski poznał, kiedy stacjonował wraz z wojskiem w Bydgoszczy, prawdopodobnie na jednym z balów oficerskich. Ojciec Zofii Mosińskiej był naczelnikiem poczty w dzielnicy Kapuściska. W czasie okupacji, Zofia dostała nakaz pracy w niemieckiej fabryce drogerijnej w Bydgoszczy.

Wiem, czym jest zagrożenie dla wolności obywatelskiej. Zderzyłem się z władzą totalitarną, i to spowodowało, że dziś mam tak silną potrzebę uczestniczenia w społecznych protestach w obronie demokracji.

(Wojciech Bogusławski)

←

Rodzina Bogusławskich od lewej: Bartosz, Zosia, Wojciech, Agnieszka, Michał

Kiedy w 1968 r. wróciłem po wakacjach do szkoły, nie było prawie połowy mojej klasy.

(Wojciech Bogusławski)

Gdy po wojnie osiedli w Szczecinie, wykorzystali zdobyte umiejętności, prowadząc we wczesnym PRL-u dwie prywatne drogerie, jedną w Szczecinie, a drugą w Międzyzdrojach. Niestety, w pewnym momencie oba sklepy zostały zajęte przez władze, a pani Zofia zatrudniła się w drogerii przy Placu Grunwaldzkim, gdzie pracowała aż do emerytury, najpierw jako sprzedawca, a później jako kierowniczką sklepu.

Niedługo po zakończeniu wojny urodził się ich syn, Wojciech Bogusławski. Jest absolwentem Politechniki Szczecińskiej, a z zawodu projektantem w dziedzinie inżynierii środowiska. W klasie maturalnej wyruszył na wycieczkę szkolną w Tatry i od tamtej pory jest silnie związany z górami. Wspinał się w Tatrach, Alpach i Himalajach.

W Szczecinie kolejne pokolenia Bogusławskich były świadkami praktycznie całej powojennej, polskiej historii tego miasta. W czasach PRL-u już od czasów szkolnych widzieli nadużycia władzy.

Wojciech wraz z innymi uczniami buntował się wtedy między innymi przez nieuczenie się języka rosyjskiego, nieuczestniczenie w pochodach pierwszomajowych i wiecach propagandowych. W jego pamięć

szczególnie zapisał się grudzień 1970 r, a zwłaszcza ówczesne manifestacje przeciw władzy oraz strzały, oddawane do protestujących.

Jednak nie wszystkie wspomnienia z peerelowskiego Szczecina były złe. Na ulicy, na której mieszkali Bogusławscy, nie zwracano uwagi na narodowość, pochodzenie społeczne ani wykształcenie.

Wszyscy pomagali sobie jak mogli, dzieląc się dobrami i usługami. W ramach sąsiedzkiej współpracy matka Wojciecha zaopatrywała sąsiadów w mydełko, a ojciec służył pomocą medyczną. Dziś pan Wojciech Bogusławski pamięta smak potraw, które jedli w biedniejszym okresie: choćby swojego ulubionego śledzia w śmietanie z cebulą i mokrego chleba posypanego cukrem.

Doświadczenie życia w PRL i późniejsze odzyskanie suwerenności dało mu jednak coś jeszcze – wewnętrzne poczucie wolności, której nie chce oddać.

W rozmowie uczestniczył Wojciech Bogusławski

Korzenie to dla mnie rodzina i miejsce zamieszkania – ukochany Szczecin, którego nie zamieniłbym na żadne inne miejsce na ziemi, choć sercem jestem też związany z górami

(Wojciech Bogusławski)

Nigdy nie zapomnę tego dnia, gdy wracałem z technikum w Dąbiu i odprowadzałem koleżankę do domu, na ulicę Krzywoustego. Natknęliśmy się wówczas na tłum robotników zebranych przy ulicy Potulickiej, gdzie z zakładu karnego zaczęto strzelać w kierunku prostujących. Przestraszyliśmy się i uciekliśmy, jednak gdy odprowadziłem koleżankę do jej rodziców, z ciekawości wróciłem w to miejsce, by zobaczyć, co się tam wydarzyło. Dotarłem pod gmach ówczesnego komitetu wojewódzkiego partii. Tam ujrzałem deszcz pomarańczy spadających z ostatniego piętra budynku. Okazało się, że ludzie, którzy dostali się do gmachu, zaczęli wyrzucać wszelkie gromadzone tam dobra, niedostępne dla przeciętnych ludzi.

(Wojciech Bogusławski)

Wodni ludzie.

Rodzina Chańków

Gdyby można było w poetycki sposób określić rodzinę Chańków, można by powiedzieć o nich „Wodni Ludzie”. Pani Jadwiga urodziła się w centralnej Polsce, nad Narwią, w okolicach Ostrołęki i Wyszkowa, jednaście lat przed wybuchem wojny. W dniu jej wybuchu miała sześcioro młodszego rodzeństwa. Ojciec został wywieziony na roboty do kopania okopów, została matka z córką. Niemcy chcieli wywieźć panią Jadwigę na roboty do Niemiec, ale rodzina przekupiła strażników, tak że w czasie transportu przymknęli oko na ucieczkę Jadwigi, która zdążyła wsiąść do dorożki.

Po wojnie Jadwiga najpierw trafiła na Warmię i Mazury. Jako że a ponieważ bardzo lubiła dzieci i naukę, w Olsztynie ukończyła kurs na wychowawczynię, a w 1950 r. pojechała do Gdańska zdobywać wykształcenie w zakresie wychowania przedszkolnego. Poznała tam przyszłego męża. Jeszcze w Gdańsku urodził się pierwszy syn, Romuald. Mąż Jadwigi otrzymał nakaz pracy ze skierowaniem do Świnoujścia, w firmie Dalmor (połowy dalekomorskie przeważnie na

We wczesnych latach 50. w Świnoujściu nie było promów jak dziś, tylko jeden prom towarowy i przedwojenne, małe stateczki, które przewoziły pasażerów na wyspę za specjalną przepustką.

(Jadwiga Chańko)

→

Jadwiga i Romuald



Morzu Północnym) i cała rodzina przeprowadziła się na wyspę. Jadwiga wychowywała dzieci: w 1952 r. urodziła córkę Joannę, a w 1956 syna Lecha.

Do Szczecina przenieśli się w 1955 r., gdy mąż Jadwigi dostał propozycję pracy w tym mieście. Jadwiga była zadziwiona specyficzną, miejską zabudową kamienic z oficynami i podwórkami-studniami. Rodzina dostała przydział w takiej kamienicy, przy ul. Sławomira, gdzie ciemne mieszkanie było współdzielone z innymi lokatorami. Żyło im się ciężko, trzeba było palić w piecach w celu ogrzania mieszkania i nagrzania wody. Po pewnym czasie otrzymali bardziej słoneczne i większe mieszkanie na szczecińskim Starym Mieście. Chańkowie wspominają szczególnie miło nieistniejące już miejsca – łaźnię i pływalnię przy ul. Koński Kierat czy teatr Rusałka, który działał na Pl. Orła Białego.

Na Starym Mieście, gdy był wiatr od wschodu, mieszał się zapach czekolady i ryby, a gdy wiało od południa – pachniały drożdże z drożdżowni. W nocy słychać było megafony na Dworcu Głównym

(Romuald Chańko)

W Szczecinie wszyscy ludzie byli „skądś”. Przyjezdni mówili gwarą, zaciągali wschodnim akcentem. Panowała duża tolerancja i radość z odzyskania niepodległości.

(Jadwiga Chańko)

Najstarszy syn Jadwigi, Romuald, zawodowo poszedł w ślady ojca, ukończył przetwórstwo rybne w technikum, służył w lądowej marynarce wojennej jako telefonista-telegrafista, a następnie pracował w Przedsiębiorstwie „Gryf” razem z ojcem.

Nad Narwią i na Mazurach, skąd pochodzi Jadwiga, życie przenosiło się nad wodę od wiosny do jesieni. Dziś Szczecin kojarzy się Chańkom z zielenią i właśnie z wodą. Bliskie im są kąpieliska miejskie: jezioro Głębokie z cudowną plażą, nieco dziki Dziewoklicz, wspaniała plaża w Dąbiu, a szczególnie nieczynna już dziś Plaża Mieleńska, na którą pływały stateczki spod Wałów Chrobrego. Cenią sobie też tolerancję i wielokulturowość szczecinian.

W rozmowie uczestniczyła p. Jadwiga Chańko i jej syn, Romuald Chańko.





Z Hamburga do Szczecina. Rodzina Cwylów

Sonia Cwyl urodziła się pięć lat przed wybuchem wojny w Hamburgu, w rodzinie o polskich korzeniach. Po wojnie z rodzicami i siostrą przyjechała do Polski, natomiast brat został na zawsze w Niemczech. Do Szczecina rodzina trafiła za namową jej siostry. Ojciec – głowa rodziny – dał namówić się starszej córce na przyjazd do Polski, choć było to bardzo ryzykowne. Sonia w Polsce stalinowskiej czuła się bardzo niepewnie: urodzona w Niemczech, mówiąca z wyraźnym niemieckim akcentem, nie wymawiała głoski „r” – była „podejrzany elementem” mającym krewnych za granicą. W przegranych Niemczech powojennych jej rodzina również nie czuli się dobrze.

Wszystkie te przeżycia nauczyły panią Sonię wielkiej tolerancji dla różnorodności kulturowej, narodowościowej – nabyła ona także wielkich umiejętności dialogu i negocjacji na różnych płaszczyznach porozumienia. Tak duże umiejętności interpersonalne spowodowały, że z powodzeniem zarządzała wielkimi grupami społecznymi szwaczek w zakładach odzieżowych „Trykot” w Szczecinie. W trakcie strajków w latach 80. w stoczni, wspomagała wraz z innymi

Życie miałam bardzo urozmaicone i lubiałam występować. Nie ma się co dziwić – całe życie musiałam walczyć, zмагаć się – mając niemiecki akcent nie zawsze byłam dobrze przyjmowana.

(Sonia Cwyl)

Dla mnie i dla całej rodziny było bardzo ważne, by Polska po wojnie odzyskała niepodległość.

(Sonia Cwyl)

pracownikami „Trykotu” stoczniovców. W Polsce, w zespole tanecznym, poznała swojego późniejszego męża, który pochodził z rodziny śląskiej. Gdy miała 21 lat, wyszła za mąż. Pierwszy mąż zmarł bardzo wcześnie. Z drugim mężem poznali się w technikum chemicznym dla dorosłych w Żydowcach. Później mąż skończył studia i pracował w Żydowcach jako inżynier – pani Sonia przeżyła z nim 42 lata. Od czasu drugiego ślubu mieszka w centrum Szczecina.

Dziś Sonia Cwyl jest od trzydziestu lat na emeryturze. Swoje dotychczasowe życie wspomina jako przeważnie szare i biedne, ale jednocześnie kolorowe. Pani Sonia, która kochała i kocha ludzi, a ludzie ją – mało-wała życie kolorami uśmiechu, serdeczności i dobrego humoru. Zawsze kierowała się zdrowym rozsądkiem, uczciwością i przyzwoitością. Te cechy, w połączeniu z niemieckim umiłowaniem porządku pozwoliły jej wypracować szacunek u ludzi, których spotykała na swojej drodze.

W rozmowie uczestniczyła pani Sonia Cwyl.

Mogłam zostać w Niemczech, w obozie dla uchodźców – ale nie chciałam. Chciałam żyć tu, z moją córką.

(Sonia Cwyl)





Pasja społecznego działania. Rodzina Durków

Obie linie rodziny Durków przybyły do zachodniopomorskiego z zachodniego Mazowsza. Ojciec matki, dziadek Lewandowski, brał udział w powstaniu Żeligowskiego w Wilnie. Był gospodarzem w powiecie gostyńskim, po wojnie działaczem mikołajczykowskiego PSL, pełnił funkcję wójta w Przelewicach. Dziadek Józef, ojciec ojca, przed wojną był urzędnikiem w Oporowie (powiat kutnowski) i pochodził z rodziny lewicującej.

Po wybuchu II wojny Durkowie uciekli do Warszawy, bo słyszeli, że w Wielkopolsce rozstrzelują urzędników. Ojciec Durków we wrześniu 1939 roku zgłosił się do obrony cywilnej Warszawy, a potem działał w ruchu oporu. W 1943 roku – trafił do Brzeska (powiat pyrzycki) na roboty przymusowe z łapanki. Po wojnie ojciec sprowadził do Brzeska całą swoją rodzinę – rodziców i dwóch braci. Wybrał tam trzy domy – dla siebie, dla rodziców i brata i rozpoczął pracę jako urzędnik w Starostwie Powiatowym w Pyrzycach z siedzibą w Lipianach. W 1950 roku ożenił się z przyszłą mamą braci Durków – córką wójta Przelewic, gdzie zamieszkał.

Podczas wyjazdu do Szczecina w 1970 mama pokazała mi dyskretnie spalony budynek wojewódzkiej komendy milicji: „Widzisz, jest zastłonięty, oni go szybko odbudują, ale to robotnicy spalili”.

(Włodzimierz Durka)

←

Bracia Andrzej i Włodzimierz Durkowie

Za założenie komórki „Solidarności” w ZSL poszliśmy pod sąd partyjny, dostaliśmy dyscyplinarki i zakaz pracy, ale potem przysłała abolicja w 1983 r. i skończyło się dobrze. Potem poszedłem do pracy w Zespole Szkół Budowlanych, 7 lat byłem wicedyrektorem, zrobiliśmy dużo dobrego. Najlepszy mój okres.

(Andrzej Durka)

Bracia Durkowie z sentymentem wspominają Przelewice. Wspominają tamtejszy ogród dendrologiczny, zabawy z dzieciństwa, grę w palanta, w kapsle (w „wyścig pokoju”), strzelanie z procy w szyby w poniemieckich magazynach; Ojciec zajmował się pszczelarstwem, i to na podstawie jego pracy i dokumentacji zostały zarejestrowane „miody przelewickie” – zachodniopomorski produkt regionalny.

Później rodzina przeniosła się do Szczecina. Andrzej najpierw studiował tam matematykę, ale został wyrzucony ze studiów za handel walutą (20 dolarów w kawiarni). Potem rok przebywał na wsi w domu rodziców, pracował w gospodarstwie i jako nauczyciel. Zaprenumerował wówczas pisma „Teatr” i „Dialog” i wtedy zaczęła się jego pasja teatralna. Teatrologię



w Poznaniu ukończył z wyróżnieniem. Po powrocie do Szczecina pracował w szkołach i instytucjach kultury. Od dziecka miał żyłkę działacza – był w harcerstwie, w PCK. Aktywna była zresztą cała rodzina: matka była przewodniczącą komitetu rodzicielskiego, a Włodzimierz – spółdzielni uczniowskiej Zorza.

W 1977 r. Andrzej rozpoczął pracę w Domu Kultury „Słowianin”, współtworząc wraz z Zygmuntem Duchyńskim Teatr „Kana”. Od 1979 roku związany z ZSL, a później z PSL, w którym pełnił funkcję prezesa Zarządu Miejskiego, a później zarządu wojewódzkiego do 2005 roku. W latach 1990-98 był nauczycielem w Zespole Szkół Budowlanych w Szczecinie. Był między innymi radnym sejmiku województwa, wicemarszałkiem, wicewojewodą, pełnomocnikiem prezydenta do spraw współpracy z gminami, a Włodzimierz pracował na Uniwersytecie w Instytucie Socjologii. W 1992 r. założył wraz z kolegami pierwszą w województwie firmę badawczą – Agencję Badania Opinii Publicznej „Survey”. Obaj bracia aktywnie działali na rzecz pojednania i współpracy pomiędzy Polakami i Niemcami.

Bracia czują się patriotami polskimi i zachodniopomorskimi. Widzą wiele zaniedbań i problemów w Szczecinie, stracone lata dziewięćdziesiąte, urbanistyczny bałagan. A jednak chcą tu mieszkać, i ich dzieci też.

W rozmowie uczestniczyli bracia: Andrzej i Włodzimierz Durkowie.

*Jestem dumny z tego,
że odzyskaliśmy niepodległość.
Po II wojnie udało się jakoś
szczątkowo ją przechować,
a teraz? Teraz potrzeba tylko
mądrych rządzących.*

(Włodzimierz Durka)

Wiedza – prawdziwy skarb. Rodzina Głowińskich

Przedwojenny okres życia pani Anna Głowińska, która urodziła się w 1932 r. w województwie tarnopolskim (obecna Ukraina) wspomina jako radosny. Pani Anna mieszkała wówczas z rodzicami w kolonii polskiej wśród Ukraińców i Żydów. Sąsiedzi żyli w zgodzie, wspólnie obchodzili święta. Wraz z wojną ujawnił się jednak nacjonalizm: partyzanci ukraińscy zamordowali bestialsko ojca p. Anny. Mała Ania z mamą i rodzeństwem uciekała przez linię frontu. Po wojnie jako repatrianci rodzina trafiła do Goleniowa, a potem do Krzepielowa na Ziemi Lubuskiej. Pani Anna ukończyła Liceum Pedagogiczne w Bydgoszczy i rozpoczęła pierwszą pracę w szkole, gdzie poznała swojego męża. W 1954 r. dostali przydział do Szczecina: mąż – do pracy w zakładach odzieżowych Dana, a pani Anna – do szkoły. Do dziś ma przed oczami wstrząsający widok ruin, szczególnie szczecińskiej katedry, w której szabrownicy, szukając kosztowności, wyciągali z grobowców kości i czaszki.

Pani Anna wspomina wielokulturowość i wspólnotowość powojennego Szczecina. Mieszkańcy mieli podobne doświadczenia: stracili bliskich na wojnie,

*Spotykali się tu wszyscy,
z każdego zakątka Polski
przedwojennej, z nakazem pracy
ruszali w miasto.*

(Anna Głowińska)

→

Anna Głowińska



brakowało im przedmiotów codziennego użytku. Podobna sytuacja zbliżała ludzi do siebie. Wszystkich łączyła radość z przeżycia wojny, wdzięczność Opatrzności czy losowi, że przeżyli.

Tej radości towarzyszyło jednak niepełne poczucie niepodległości, wrażenie tymczasowości, życie pod okiem inwigilującej władzy, obawa przed donosicielami. Poza politycznymi niepokojami było też dużo spokoju. Nie latały już nad głową samoloty, nie zrzucano bomb.

*W czasach PRL czuło się,
że niepodległość to tylko fasada*

(Anna Głowińska)

Realia PRL były trudne na co dzień. Dramatycznym problemem był brak mieszkań. Gdy rodzina pani Anny w 1969 roku zamieszkała na Niebuszewie, to na obecnej ul. Królewicza Kazimierza pasły się krowy i konie.

*Mnie, pochodzącej ze wsi
dziewczyny, nigdy nie byłoby stać
na zdobycie wykształcenia. To jest
moja największa wartość. Moja
mama powtarzała: ogień i złodziej
nie zabierze ci tego, co będziesz
wiedzieć i umieć.*

(Anna Głowińska)

Dziś pani Anna podkreśla radość z tego, że dostała możliwość kształcenia. Jej największym skarbem i sukcesem jest to, że ona, mąż i jej dwaj synowie także mogli się kształcić. Niezapomniane pozostaną też radosne chwile: narodziny dzieci, wnuków, wreszcie spełnienie zawodowe w pracy z dziećmi niepełnosprawnymi umysłowo.

W rozmowie uczestniczyła p. Anna Głowińska.





Pianino z napisem „Woronow”.

Rodzina Kasperowiczów

Pani Danuta Drechsler (z domu Kasperowicz) wraz z bratem Januszem Kasperowiczem wspominają historię dawnych pokoleń swojej rodziny. Ich rodzice, Edward i Karolina, poznali się w Stołpcach nad Niemnem, położonych około 70 km na południowy zachód od Mińska (obecnie Białoruś). Życie tam nie było łatwe. Trzeba było nosić wodę ze studni, a zimy były tak mroźnie, że w mieszkaniu woda zamarzała w misce. Edward poznał późniejszą żonę Karolinę, gdy udzielał jej korepetycji. Był od niej o sześć lat starszy.

Rodzice Edwarda pochodzili z Borysowa. Dziadek Adolf Kasperowicz był urzędnikiem państwowym – pracował w starostwie w Stołpcach, a po wojnie – w Urzędzie Stanu Cywilnego w Szczecinie. Udzielił ponad 10 000 ślubów. Babcia Karoliny ze strony matki była pochodzenia niemieckiego. Pani Danuta pytała o tę historię swoją mamę, ta jednak nie chciała o tym opowiadać, ponieważ czasy były niepewne.

Po wojnie podczas repatriacji przez Bydgoszcz i Koszalin rodzina trafiła do Szczecina. Ojciec pracował

Mojej mamie Szczecin bardzo się spodobał. Miała takie odczucie, że była w tym mieście już kiedyś, w poprzednim wcieleniu – na Małkowskiego spotykała się w karczmie z mężczyzną i zdradzała swojego męża, który w końcu ją nakrył. Dlatego w tym życiu była taka wierna. Sprawdziliśmy: taka karczma, rzeczywiście istniała na Małkowskiego. Może dlatego rodzice zostali w Szczecinie?

(Danuta Drechsler)

←

Janusz Kasperowicz i Danuta Drechsler (z domu Kasperowicz)

*Kiedy wybuchły wydarzenia
Grudnia '70 – pamiętam, to był
czwartek – zostaliśmy przetrzymani
przez dyrektorkę w szkole.
Nie wypuściła nas ze szkoły,
wiedząc co się dzieje w mieście.
Wychodziliśmy grupami, jedna
osoba dorosła odprowadzała
wszystkich po kolei.*

(Janusz Kasperowicz)

w biurze repatriacyjnym do 1957 roku. Potem pracował m.in. jako kierownik „Lodogryfu”, księgowy w szpitalu. W między czasie wstąpił do Stronnictwa Demokratycznego, bo jako bezpartyjny nie mógł awansować.

Pani Danuta urodziła się pięć lat po wojnie. Wspomina Szczecin tamtych lat: poniemieckie pianino w domu z napisem na płycie czołowej „Woronow”, smaki tradycyjnych potraw wigilijnych, które rodzice przyrządzali: czerwony barszcz, smażone uszka z grzybami, kisiel z żurawiny, ołatki (przypominające małe bliny) oraz codzienne potrawy: litewskie bliny, rosół z kołdunami. W domu nie rozmawiało się o niepodległości, ale panował kult Piłsudskiego i była tradycja



wywieszania flagi na 3 Maja. Ziemie zachodniopomorskie – tak wspominali rodzice p. Danuty i Janusza – traktowano nie jako ziemie odzyskane, ale jako „wyzyskane”, ponieważ wywożono stąd wszystko, co się dało, na odbudowę Warszawy.

Młodszy brat pani Danuty, Janusz, podobnie jak siostra działał w harcerstwie. Rodzice działali w tej organizacji jeszcze przed wojną i zarazili swoją pasją swoje dzieci. Pan Janusz swoją żonę także poznał w harcerstwie. Działał w nim jeszcze do lat 90. Kiedy kończył swoją działalność, był instruktorem w chorągwie komisji rewizyjnej.

Oboje wspominają kluczowe momenty dla polskiej niepodległości. Zapach gazu łzawiącego w Grudniu '70, zamieszki w latach 80. Pani Danuta wówczas mieszkała na Śląsku i działała w „Solidarności”, a pan Janusz w 1980 r. roznosił gazetki związkowe. Jednak oboje w sercu noszą także codzienne zdarzenia: wycieczki na plażę Mieleńską, rejsy wodolotami i statkami białej floty, wozy konne rozwożące węgiel.

W rozmowie uczestniczyła p. Danuta Drechsler z domu Kasperowicz i jej młodszy brat, Janusz Kasperowicz.

W 1970 roku szłam do koleżanki się uczyć i widziałam ciężarówki z milicjantami. Uratowała mnie biała czapka studencka, bo przy delikatesach na Krzywoustego były zamieszki i jakiś milicjant pomógł mi przejść na drugą stronę ulicy.

(Danuta Drechsler)



Między Polską a Niemcami. Rodzina Kiedrowskich

Pradziadkowie Bożeny Kiedrowskiej-Waławik ze strony ojca przybyli z Węgier do Wielkopolski, handlowali końmi. Z tej strony nic się nie zachowało, tylko mój temperament – śmieje się pani Bożena. Przodkowie ze strony matki pochodzili z poznańskiego, gdzie handlowali artykułami spożywczymi i solą. Rodzice poznali się na studiach. Matka studiowała ekonomię w Toruniu, a ojciec – w szkole oficerskiej w Inowrocławiu. Aby się pobrali, matka musiała wnieść w posagu dwupokojowe umeblowane mieszkanie.

Pani Bożena urodziła się w 1929 roku w Gnieźnie. Wojna zastała ją i rodziców w Wejherowie. Wówczas było to pogranicze; kiedy wkroczyli Niemcy, byli witani jako wyzwoliciele. Ojciec walczył na Oksywiu i dostał się do niewoli. Głód zmusił rodzinę do przyjęcia volkslisty. Ojca wypuszczono, ale wcielono go do oddziałów pomocniczych i wywieziono pod Leningrad, gdzie budował okopy i zajmował się zaopatrzeniem. Gdy cofał się z frontem, trafił na okrążenie Gdyni i Gdańska i wyzwolenie. Sowietci go umieścili w obozie pod Słupskiem i wypuścili pod koniec 1945 roku. Oboje rodzice chorowali. Pani Bożena po wojnie skończyła szkołę

- - - - -

Wyzwolenie nie było radosne, nie było polskiego wojska, byli Rosjanie. Mama ukrywała mnie w piwnicy przysypaną węglem. Wojsko polskie przyszło po 2-3 miesiącach.

(Bożena Kiedrowska-Waławik)

←

Bożena Kiedrowska-Waławik (mama)
i Grzegorz Kiedrowski (syn)

W 1956 roku z mężem pojechaliśmy samochodem do Poznania na zakupy. Chciałam sobie kupić torebkę i czarną gabardynę na modny płaszcz. W sklepie nam powiedziano: „Uciekajcie, bo was później nie wypuszczą, bo będzie powstanie”. Szybko wyjechaliśmy. Później z radia dowiedzieliśmy się, co się stało.

(Bożena Kiedrowska-Waławik)

pielęgniarską w Gdyni i musiała szybko iść do pracy, bo tata nie mógł pracować. W 1948 roku dostała skierowanie do pracy do Szczecina i przyjechała tu sama, gdzie pracowała w szpitalach. Pamięta odczucie lęku – most pontonowy, który kiwał się i była obawa, że się zarwie. a wkrótce przyjechał też jej ojciec. Zajmował się odbudową Szczecina i organizował spółdzielnie budowlane. W Wojewódzkim Zrzeszeniu Gminnych Spółdzielni pracował już do emerytury.

Pani Bożena po pewnym czasie odeszła ze służby zdrowia. Skończyła technikum ekonomiczne i pracowała w księgowości, m. in. w telewizji. Pierwsze małżeństwo się nie powiodło: z drugim mężem kilkanaście lat byli narzeczonymi, jednak jej dzieci z pierwszego małżeństwa wkrótce bardzo go polubiły. Dzieci pani

Bożeny uczyły się bardzo dobrze. Polityka z początku nie ingerowała w jej życie, jednak potem, gdy chciała wyjechać do Niemiec do syna (wyjechał na stałe pod koniec lat 70., gdzie skończył studia medyczne), nękaną ją i wzywano na komendę. O stanie wojennym dowiedziała się w Niemczech w sklepie. Dziś w Niemczech mieszkają jej wnuki i prawnuki.

W Szczecinie pani Bożena zawsze czuła się bardzo dobrze. Kiedyś myślała o pozostaniu w Niemczech. We współczesnej Polsce nie wszystko jej się podoba: widzi, jak ścinają się politycy, jak rozpada się symbol dawnej „Solidarności”. Dziś jednak czuje, że Szczecin jest jej miastem i chce być tu pochowana. Jej syn chce też wrócić do miasta na emeryturze.

W rozmowie uczestniczyła Bożena Kiedrowska-Waławik.

Mimo ciągłych, niekończących się przesłuchań, w końcu zawsze dostawałam paszport i 100 marek na tranzyt, by pojechać do syna. Najgorszy był przejazd przez Berlin. Te niekończące się druty, psy pod pociągami – przechodziły mnie dreszcze, wracały wojenne wspomnienia.

(Bożena Kiedrowska-Waławik)

ZARZAD MIEJSKI
M. SZCZECINA
REFERAT EWIDENCYJNY

L. dz. _____ /45

KARTA REJESTRACYJNA NR. 15877
MIESZKANCÓW MIASTA SZCZECINA

Nazwisko *Maksymów* Imię *Stanisław*
Imiona rodziców *Antoni, Antonina*
z mieszkaje w Szczecinie od dnia *17. VII 1945* ul. *Lieboń 11 d mienk 6*
gdzie przebywał w dniu 1 9 1939 *Brokoryze Sos. Zydecki's*
zawod i stanowisko w zawodzie *brak odzianek*
urodził się dnia *19. IX 1931* w *Brokoryze Sos. Zydecki's*
wyznanie wg. metryki *Rzym - kat* stan cywilny *—*
imię drugiego z małżonków *—*
Czy posiada dowód osobisty i jaki *Dow. Toż. Os. A 686852. Kat. Państw. Lwów.*
przynależność państwowa *polish*
Narodowość *polish* język ojczysty *polish*
Stosunek do służby wojskowej *—*
stopień wojskowy *—*
nr. ks. ew. nr. rejestru *—*

Wiarogodność powyższych danych własnoręcznym podpisem stwierdzam.

Szczecin, dnia *19. VII* 1945

Maksymów Stanisław
podpis

Uwagi

Rejestracyjna Karta w Biurze Meldunkowym przyjał.

Szczecin, dnia *22 VII* 1945



[Signature]
POLASZEK
KIEROWNIK WYDZIAŁU

Smak zytomierskich derunów. Rodzina Kotwickich

Województwo zachodniopomorskie to nie tylko mieszanina kultur, ale też miejsce, gdzie przestają liczyć się klasy i pochodzenie. Pokazuje to historia rodu kuzynów – Cezarego i Grzegorza Kotwickiego.

Ich babcia, Rozalia z Kratowskich Kotwicka, była szlachcianką, dziadek Dominik zaś – prostym parobkiem na dworze. Zakochali się w sobie, jednak ich związek był mezaliansem. Rodzina Kotwickich przyjechała na Pomorze Zachodnie z Żytomierza (obecnie na Ukrainie). Dziadek Dominik w czasie wojny zajmował się w Ludowym Wojsku Polskim końmi i został ranny pod Gryficami. W tym samym czasie bolszewicy robili „porządki” w Żytomierzu. Wtedy żonę Dominika przywieziono do Łobza (będąc w szpitalu, przekazał żonie informację, gdzie się znajduje – dlatego została przywieziona jak najbliższej męża). Jej rodzinę wymordowali bolszewicy, a ona sama doznała wielu krzywd w związku ze szlacheckim pochodzeniem. Ocaliło ją to, że mąż walczył na froncie będąc żołnierzem LWP. Po wojnie Dominik Kotwicki otrzymał za zasługi dom w Łobzie. Choć jego żona miała korzenie szlacheckie, majątek pozostawiony przez Niemców zaskoczył ją swoimi rozmiarami.

Dziadkowie nigdy nie rozmawiali przy dzieciach o tematach politycznych, a jeśli już – to po ukraińsku, tak aby dzieci nic nie rozumiały.

(Cezary Kotwicki)

→

Grzegorz Kotwicki



*Upadek komuny miał przynieść
wolność, a przyniósł biedę.
Miało być lepiej, a nagle ludzie
dostrzegli, że nic się nie optaca.*

(Grzegorz Kotwicki)

Rodzina Kotwickich uległa propagandzie mówiącej o powrocie Niemców na Ziemię Zachodnie, dlatego też na 8 lat wyjechała do Białegostoku, jednak ze względu na warunki mieszkaniowe wróciła do Łobza. Dominik Kotwicki prowadził tam gospodarstwo rolne. Kiedy już podupadł na siłach, Rozalia podjęła pracę na komendzie milicji.

Cezary Kotwicki wspomina stan wojenny, który zastał go w kościele w Kaliszu Pomorskim. Wszystkie drogi były zablokowane, stało wojsko, paliły się koksowniki, panował niepokój – ale niektóre historie przywracały



wiarę w człowieczeństwo. Matka Cezarego pracowała wówczas w obwodzie drogowym w Kaliszu Pomorskim, i gdy pełniła dyżur nocny, zadzwoniono z ośrodka zdrowia. Była potrzeba pomóc rodzącej kobiecie, aby przewieźć ją do szpitala w Drawsku Pomorskim. Matka Cezarego zadzwoniła do Oleszna na poligon z prośbą o pomoc. Znajomy wojskowy wysłał transporter Skot, który zabrał rodzącą kobietę do szpitala.

Dziś Kotwicy czują się związani z Polską i regionem, ale i z tradycjami żytomierskimi, które pozostają do dziś żywe w rodzinie. Gotowane są dania stamtąd – na przykład deruny, kotlety ziemniaczane z twarogiem w środku, czy babki ziemniaczane. Czasy PRL-u były dla nich szare i biedne, ale, podobnie jak wiele rodzin, Kotwicy bardzo dobrze wspominają serdeczne relacje między ludźmi, niedzielne uroczyste obiady. Są muzykalną rodziną – ojciec Cezarego do dziś gra w związku emerytów. Podróżują bardzo dużo, ale uwielbiają rodzinne strony i są w nich mocno zakorzenieni.

W rozmowie uczestniczyli kuzyni: Grzegorz i Cezary Kotwicy.

*Dziś hasła niepodległości
i patriotyzmu często dewaluują
się pośród skrajności
politycznych.*

(Grzegorz Kotwicki)

←

Grzegorz i Cezary Kotwicy



Ostatni z rodu. Rodzina Kryżynów

Zdzisław Kryżyn jest ostatnim z rodu. Według ewidencji MSWiA, po jego śmierci nazwisko Kryżyn zniknie z mapy kraju. Pozostanie jedynie kilka osób o podobnym nazwisku – Gryżyn, lecz za granicą: być może na Litwie, Białorusi i na Łotwie, lecz i tam nazwisko jest „zagrożone”, bo jego pokoleniu wśród kuzynów dominują córki.

Rodzina Kryżynów wywodzi się z powiatu braclawskiego (ówczesne województwo wileńskie). Nestorami dzisiejszego rodu są Wanda (de domo Lutyńska) i Jan Kryżynowie, rodzice Zdzisława. W czasie wojny przeżyli rodzinne tragedie. Zabity brat Jana, który prawdopodobnie współpracował z którymś z okupantów, a brata Wandy zamordował sąsiad trudniący się złodziejstwem. Po wielu latach, już w Łobzie, rodzina Kryżynów spotkała się z zabójcą, który prosił ich o wybaczenie.

Ojciec Zdzisława po wojnie ukrywał się przez trzy lata. Kiedy cała grupa doszła do wniosku, że dalsze ukrywanie się nie ma sensu, oddała się w ręce władz rosyjskich. Wtedy za „działalność antypaństwową” Wanda

Zawsze myślałem krytycznie, czułem wewnętrzną niepodległość, ale nigdy nie angażowałem się w wiece i manifestacje, przez co czułem się wolnym człowiekiem jeszcze bardziej.

(Zdzisław Kryżyn)

←

Zdzisław Kryżyn

*Ludzie sobie sami ograniczają
niepodległość, nie korzystając
z możliwości, jakie mają.*

(Zdzisław Kryżyn)

Lutyńska i Jan Kryżyn, jeszcze przed zawarciem małżeństwa, zostali wywiezieni na Sybir jako więźniowie polityczni. Kiedy w 1957 r. przybyli do Łobza, musieli się szybko zasymilować, ponieważ byli już ostatnią falą repatriantów – nieruchomości były już w większości wcześniej pozajmowane przez inne rodziny, które wcześniej trafiły do miasteczka. Musieli się też przyzwyczaić do nowych warunków i wygód związanych z życiem w mieście. Ich dom jako jeden z ostatnich został podłączony do miejskiego wodociągu.



Rodzina Jana została na Kresach. Zdzisław Kryżyn aktualnie nie utrzymuje z nią kontaktów: kuzynostwo nie jest z informatyzowane, zaś sam Zdzisław nie lubi pisać listów.

Podobno umiem pomagać słabym ludziom, jednak słabi w dużych ilościach stanowią problem.

(Zdzisław Kryżyn)

Wanda i Jan Kryżynowie przenieśli też do Łobza język swoich rodzinnych stron – triasiankę. Dziś Zdzisław Kryżyn pamięta takie słowa, niezrozumiałe dla sąsiadów jak „uhażor”, czyli kawaler, czy „przypodym” – czyli „podnieś” i wiele innych. Dziwna gwara powodowała, że sąsiedzi nie do końca mieli pewność, z kim rozmawiają, jakiej narodowości są Kryżynowie. Wanda Kryżyn nigdy nie pracowała. Jan był portierem i dorabiał jako krawiec. W politykę poza rodzinnym kręgiem nie angażowali się i nie mieli osobistych animozji. Zachowanie w stosunku do innych cechowała tolerancja. „Pogodzili się wcześniej z faktem, że choć byli katolikami, ich syn stał się osobą niewierzącą. Rodzina Jana muzykowała – Jan wraz z braćmi i kuzynami „za Bugiem” grał na weselach. Na „Ziemiach Odzyskanych” grał na bajanie (guzikówce) już tylko na imprezach rodzinnych. Dziś jego syn „po cichu” też muzykuje, ale już na gitarze elektrycznej.

Zdzisław Kryżyn w 1979 roku rozpoczął studia biologiczne w Gdańsku. Stan wojenny zastał go na III roku studiów. Wspomina jedną z koleżanek, która była córką wojskowych – wyjechała do domu przed 13 grudnia informując kolegów z akademika, że wie od ojca, wojskowego, o zamierzeniach wprowadzenia stanu wojennego.

Pytany o niepodległość, Zdzisław Kryżyn wyraża zwątpienie w istnienie w pełni niepodległych państw. Każde państwo jest powiązane ekonomicznie, religijne i ideowo z innymi. Czuje się Polakiem, a jednocześnie Europejczykiem, nie stawia polskości na piedestale, czuje się przede wszystkim związany z swoją społecznością lokalną. Dostrzega możliwości, jakie daje współczesny świat i czuje ciągłość pomiędzy rodzinnymi stronami rodziców a Łobzem, jego miejscowością.

W rozmowie uczestniczył Zdzisław Kryżyn.

←

Sprawozdania sytuacyjne – obwód Łobez
(październik – grudzień), źródło: Narodowe Archiwum
Cyfrowe

Nowe Warpno jak pudełko zapalek. Rodzina Lamparskich

Podobnie jak rodzinie Chańków, także rodzinie Zbigniewa Lamparskiego zawsze towarzyszyła woda. Jego rodzice oboje pochodzą z województwa pomorskiego. Matka wychowała się we wsi Karbowo koło Brodnicy, w drewnianym domu, na gospodarce dziadków. Ojciec pochodził z pobliskiej wioski o nazwie Jajkowo, tam rodzice się poznali i tam urodziły się siostry pana Zbigniewa.

Po wojnie wuj Zbigniewa, chcąc polepszyć sobie byt, przeniósł się do gospodarstwa pod Szczecinem, gdzie został magazynierem w PGR. Wkrótce, około 1955 roku, ściągnął brata do Szczecina, gdzie ten pracował przy mostach (nitował także Most Długi). W Szczecinie urodził się Zbigniew. Gdy miał rok, ojciec został rybakiem i rodzina przenieśli się do Nowego Warpna. Pan Zbigniew wspomina puste domy – po ich dachach skakali z kolegami i wypatrywali statków na Zalewie. Pamięta też sąsiadów, którzy trzymali w ogrodzie dziki.

Lamparscy, podobnie jak Kryżynowie, byli muzyczną rodziną. Ojciec grał na skrzypcach w szkołach i na

*Pierwsze skrzypce mój ojciec
miał jeszcze w Jajkowie.
Były zrobione z pudełka
od amerykańskich cygar.*

(Zbigniew Lamparski)

→

Zbigniew Lamparski



LIVING & CO
18 World
MARC O'PHEL

RM

8

Sea Regatta
TRADITION SINCE
ROYAL MARINE
Quality American Design

potkańcach. Były to czasy zabaw przy muzyce na żywo. Także Zbigniew nauczył się grać na gitarze basowej w nowowarpieńskim Domu Kultury. Rodzice kultywowali częściowo tradycję ze swoich rodzinnych stron. Matka gotowała czarninę z kaczki z kluskami ziemniaczanymi.

*Tutaj, w Nowym Warpnie,
nie czuło się komuny, byliśmy
na uboczu, było luźniej, nikt
nie donosił czy podsłuchiwał,
nie odczuwaliśmy nacisków.*

(Zbigniew Lamparski)

Mimo że duża część ludności napływowej w Nowym Warpnie była wyzwania prawosławnego, to wszyscy chodzili do kościoła katolickiego, a sąsiedzi żyli w zgodzie. Pan Zbigniew pamięta dwie niemieckie rodziny, które mieszkały w Nowym Warpnie. Jedna nazywała się Jung. Ojciec rodziny był szkutnikiem i uczył Polaków szkutnictwa. Do końca życia został w Nowym Warpnie. Drugim nowowarpieńskim Niemcem był Presch, który mieszkał niedaleko boiska szkolnego i wyprowadził się do Niemiec w latach 60-tych. Jednak sentyment został, bo prawie co roku przyjeżdża do Nowego Warpna.

Wielka polityka omijała Nowe Warpno – nie było prześladowań, ale także działań opozycyjnych. W czasie stanu wojennego, jak wspomina pan Zbigniew,

*W stanie wojennym wyszedłem
z wojska. Gdy dociekałem czemu
mnie nie wzięli, to znajomy
kapitan powiedział, że mam
napisane w papierach „niepewny
politycznie”. Ucieszyłem się,
ale do dziś nie wiem, dlaczego
tak napisali.*

(Zbigniew Lamparski)

o 19:30 stawiało się w oknach świeczki, by pokazać, że nie ogląda się reżimowego „Dziennika Telewizyjnego”. Lata 90. były jednak powiewem wolności. Pan Zbigniew żeglował, dlatego istotne dlań było, że można było pływać także po niemieckiej stronie; wcześniej, przed wyborami w 1989 r., okręt wojenny pilnował wodnej granicy. Z drugiej strony zlikwidowano wiele zakładów – stocznię, tartak i szwalnię, w której pracowały swego czasu prawie wszystkie kobiety.

Pan Zbigniew uważa się za nowowarpieńskiego patriotę. Razem z mieszkańcami obchodził niedawno 700-lecie Nowego Warpna. Podoba mu się to, że Nowe Warpno jest tak małe. „Tutaj gdy się wyjdzie po zapalki, to już się uczestniczy w życiu towarzyskim”, podsumowuje.

W rozmowie uczestniczył Zbigniew Lamparski.





Koza w łazience.

Rodzina Maksymowów

Prawdziwymi szczecińskimi pionierami byli kolejarze. To ich grupa jako pierwsza przybyła do miasta, by dokonać między innymi inwentaryzacji taboru. W tej grupie był także ojciec Stefana Maksymowa, który w Szczecinie mieszka od 74 lat. Pochodził ze Lwowa. Z bronią w ręku walczył z banderowcami, którzy napadli na jego rodzinę – bohatersko ją obronił, zdobywając pepeszę. Później trafił na Pomorze Zachodnie. Jego syn, pan Stefan, dojechał wkrótce ze Szczecinka. Dziś wspomina podróż wagonem towarowym, a później węglarką. Rodzina jechała z... kozą, którą Stanisław, brat Stefana, dostał w prezencie od wuja. Po przyjeździe do Szczecina, koza mieszkała najpierw w łazience mieszkania w kamienicy przy ulicy 5 Lipca, a gdy wstawiono wannę, zwierzę przeniesiono na balkon.

Powojenne lata były niebezpieczne. Dzieci bawiły się niewybuchami, które niektórych kolegów pana Stefana doprowadziły do śmierci lub niepełnosprawności. Grasowały bandy, w mieście było wielu żołnierzy radzieckich – ale ten czas to także zabawy organizowane w Domu Kultury Kolejarza (który wcześniej był siedzibą masonerii). Mało kto dziś pamięta, że imprezy

Szczecin po wojnie był pełen kóz. Tu, gdzie jest teraz Plac Gałczyńskiego, były gruzy, porośnięte już trawą. Tam pasły się kozy.

(Stefan Maksymów)

←

Rodzina Maksymowów od lewej: Stefan, Michał, Romana Krzewicka (z domu Maksymów), Anna

Z Lasku Arkońskiego przywoziliśmy naboje do mausera. Rozbieraliśmy taki nabój i odsypywaliśmy trochę prochu, szpic wbijało się do środka, zasypywało się ten nabój i odpalało. Można było zrobić dziurę w rynnie na trzecim piętrze.

(Stefan Maksymów)

taneczne organizowano też na stacji Szczecin Port Centralny.

Stefan Maksymów przejął fach po ojcu. W 1962 roku w ramach stażu pracy zdał egzamin na maszynistę spalinowych pojazdów trakcyjnych. Pracował na różnych stanowiskach wykonawczych i kierowniczych, był między innymi zastępcą naczelnego dyrektora i naczelnym dyrektorem Pomorskiej DOKP w latach 1984-1990. Dużo wcześniej, bo w 1965 r. do Szczecina przyjechała jego przyszła żona, Anna, pochodząca z Małopolski, ze Stryżowa, wsi położonej 9 kilometrów od Wadowic. Ją i całą jej rodzinę bierzmował ówczesny biskup Karol Wojtyła. Wojna ominęła jej wieś.



Do Szczecina ściągnęły panią Annę ciotki, pracujące na kolei. Pomogły jej podjąć tam pracę. Na kolei poznała swojego przyszłego męża.

Członkowie rodziny wspominają smak tradycyjnych potraw z kresów: gołąbków z ziemniakami, studzieniny (zimnych nóżek w galarecie), kaszy manny z serem na słono. Widzą, jak wiele tradycji i artefaktów przeszło z Kresów na Pomorze: choćby nazwa klubu sportowego Pogoń, akcesoria, które trafiły do kościoła przy ul. Królowej Korony Polskiej, powiedzonka takie jak „panie dzieju”.

Kolejne pokolenia Maksymówów różnie pamiętają kluczowe momenty historii. W 1970 r. Anna Maksymów słyszała strzały, widziała jadące karetki pogotowia; pani Romana wspomina, jak wrzucono im w 1981 r. gaz łzawiący do klatki schodowej. Mieszkali przy ulicy Wojska Polskiego i wszystkie zamieszki odbywały się pod ich oknami. Na Okrągły Stół patrzyli z dystansu, dostrzegając nie tylko odzyskanie suwerenności, ale też biedę i bezrobocie, zwłaszcza na terenach popegeerowskich.

Dziś wszyscy są mocno związani ze Szczecinem. Kochają to miasto pełne – jak mówią – świeżego powietrza, ruchu i przestrzeni.

W rozmowie uczestniczyli Stefan Maksymów, jego żona Anna oraz Romana Krzewicka z d. Maksymów, córka Stanisława, brata Stefana

Odzyskanie suwerenności Polski po upadku komunizmu było okupione ogromnym wysiłkiem. Chcieliśmy odczuwać wolność, a tak naprawdę dostaliśmy mnóstwo roboty. Nie jest normalne, że żyje się tylko pracą. Na szczęście dziś jest już nieco normalniej.

(Romana Krzewicka)



Budowanie regionu. Rodzina Molewiczów

Droga rodziny Marka Molewicza do Szczecina była skomplikowana. Oboje rodzice pochodzili z południa Polski. Dziadkowie ze strony matki, Drajewiczowie, wywodzą się z Krakowa; dziadek uciekł ze szkoły średniej do legionów Piłsudskiego i wraz z Pierwszą Kadrową, wyruszył na wojnę. Babcia, pochodząca z rodziny kolejarzy, była bardzo zaangażowana w walkę o niepodległość kraju – pod koniec I wojny światowej jako sanitariuszka wyjechała bronić Lwowa przed Ukraińcami. Po I wojnie urodziło im się dwoje dzieci, starsza córka Aldona to matka Marka Molewicza, a jej brat Jerzy zginął w czasie wojny w Oświęcimiu. W czasie wojny pani Aldona podjęła pracę na kolei jako telegrafistka (takich pracowników nie wywozili do Niemiec). Była też łączniczką AK. Tam poznała Michała Molewicza, pochodzącego ze Starego Sącza, gdzie wraz z rodziną Cabalskich Molewiczowie mieli kwartał miasta na własność.

Pani Aldona i pan Michał wzięli ślub w 1946 roku. Ponieważ mąż nie mógł znaleźć pracy, wyjechali do Lubawki, miejscowości leżącej w Karkonoszach. Tam w 1947 roku urodził się Marek Molewicz. Jego ojciec prowadził tam spółdzielnię handlową. Niestety, były

Nie mogłem zakończyć pracy dyplomowej, gdyż w Stoczni Szczecińskiej wybuchł strajk. Mogliśmy rozmawiać z naszymi promotorami wyłącznie przez płot.

(Marek Molewicz)

←

Marek Molewicz

to czasy represji wobec prywatnej inicjatywy. Władze spółdzielni zostały niesprawiedliwie aresztowane i skazane za rzekome przestępstwa gospodarcze. Żona Michała Molewicza została sama z dwójką małych dzieci i wyjechała z dziećmi do swoich rodziców do Szczecina. Zamieszkali w Dąbiu. Pan Marek wspomina wędrówki po tej dzielnicy, która była jakby osobnym miastem. Zaczynało go Jezioro Szmaragdowe, tamtejsza grotka ze sztucznymi soplami skalnymi oraz pagoda przed wejściem. Z mamą chodzili też do Operetki, która mieściła się w przebudowanej hali sportowej przy ul. Potulickiej.

Pani Aldona wkrótce wyszła ponownie za mąż i Marek Molewicz z matką i ojczymem na kilka lat przeniósł się na Śląsk, jak mówi, „jako goro!”. Po maturze

Pamiętam solidarność międzyludzką w czasie strajków w 1980. Nie kursowała miejska komunikacja, więc ci dysponujący samochodami (my mieliśmy malucha) zatrzymywali się na przystankach, aby zabrać ludzi do centrum.

(Marek Molewicz)



wybrał jednak studia Politechnice w Szczecinie, budowę okrętów. Po studiach podjął tam pracę naukową, gdzie przepracował 20 lat.

Polityka przyszła do niego już w czasie studiów. Doświadczył strajków w latach 70. i 80. Wkrótce po Sierpniu był jednym z założycieli NSZZ „Solidarność” w Politechnice Szczecińskiej, a w Instytucie Okrętowym współpracownicy wybrali go do komisji zakładowej. W dniu 14 grudnia 1981 roku, Instytut jako jedyny wydział na Politechnice rozpoczął strajk wspomagający Stocznię, który został wkrótce rozwiązany.

W czerwcu 1989 r. Molewicz wraz z kolegami z „Solidarności” pomagał ludziom dokonać właściwego wyboru, gdyż lista była jedna i trzeba było skreślać. Wspomina, jak wydrukowali karteczki z nazwiskami kandydatów „Solidarności” i młodzież rozdawała je chętnym przez wejściem do szkoły na Chobolańskiej. Wkrótce kolega pana Marka z Politechniki Szczecińskiej, Marek Tałasiewicz, został mianowany wojewodą i zaproponował panu Markowi pracę w Urzędzie Wojewódzkim. Zaczęło się od stanowiska informatyka wojewódzkiego (choć z początku w urzędzie nie było nawet faksu), a w 1992 roku został mianowany szefem Gabinetu Wojewody. Na bieżąco uczestniczył w tworzeniu zrębów nowej władzy w naszym województwie. W roku 1997 podjął pracę w Stoczni Szczecińskiej, gdzie jako szef Biura Zarządu dotrwał do końca bytu stoczniowego holdingu. Cały czas aktywnie uczestniczy w życiu społecznym województwa, analizuje je i nie zamierza zerwać z zaangażowaniem.

W rozmowie uczestniczył Marek Molewicz.

— — — — —
Milicja w nasz strajk nie interweniowała, więc rano – wobec pacyfikacji Stoczni – strajk rozwiązaliśmy. SB do końca nie dowiedziała się, kto wtedy strajkował

(Marek Molewicz)



Długa droga z Syrii. Rodzina Nermendów i Fate

Kuzyni Shivan Fate i Kesra Nermend (Kesra jest wujem Shivana) przebyli chyba najdłuższą wśród naszych bohaterów drogę na Pomorze Zachodnie. Może nie najdłuższą fizycznie – wszak z Syberii do Szczecina jest dalej niż z Syrii – jednak na pewno najdłuższą kulturowo.

Kesra Nermend przyjechał z Syrii na studia, na początku lat 90., po odbyciu studium języka polskiego w Łodzi, i od tego czasu zachodniopomorskie stało się domem jego rodziny. Z początku miał studiować we Wrocławiu, jednak z różnych względów zdecydował się na Szczecin. Słyszał o niechęci do obcokrajowców we Wrocławiu, o silnym wówczas ruchu skinheadów, zaś o Szczecinie mówiono wówczas, że to najbezpieczniejsze miejsce dla przybyszów, miasto prozachodnie. W Szczecinie żaden obcokrajowiec nie studiował wcześniej informatyki (większość studiowała medycynę). Kesra był pierwszy. W innych miastach pojawiała się opinia, że Syryjczycy nie są pilnymi studentami, a w Szczecinie mieli czystą kartę.

Shivan Fate w Polsce jest od 1998 roku. Najpierw uczył się języka polskiego we Wrocławiu, a potem przyjechał

Warzywa w Polsce mają inny smak niż w Syrii. Dziś pogubiłem się już między kuchniami, żona gotuje i po polsku, i po syryjsku

(Kesra Nermend)

←

Shivan Fate

do Szczecina na studia, gdzie zamieszkał z Kesrą i jego rodziną. Nermend i Fate wspominają pierwszy pobyt w Szczecinie. Temu pierwszemu spodobała się architektura i bezpieczeństwo. Zauważył lasy i jeziora, odczuł spokój tego miasta – jak mówi – trochę zapomnianego przez świat. Shivanowi najpierw bardziej podobał się Wrocław, choć przykuły jego uwagę pojedyncze miejsca w Szczecinie – wieża Bismarcka, Jasne Błonia.

Polska to zupełnie inny kraj i kultura – z początku wszystko zaskakuje. Trzeba było zmienić pewne przyzwyczajenia, ale po latach widać wyraźniej, że w gruncie rzeczy ludzie są tacy sami.

(Kesra Nermend)

Kesra Nermend przyjechał do Polski niedługo po upadku komunizmu. Był to dla niego powiew wolności w porównaniu z syryjską dyktaturą, choć pod względem gospodarczym na początku lat 90 było w Polsce gorzej niż w Syrii – w sklepach brakowało niektórych produktów, które w Syrii były. W Polsce natomiast była wolność słowa i demokratyczne wybory. Nermend i Fate w swojej ojczyźnie mieli też problemy związane z kurdyjskim pochodzeniem – naród kurdyjski nie mógł tam manifestować swojej niezależności, Kurdowie byli prześladowani i aresztowani.

Integracja w Polsce była trudna przede wszystkim ze względu na język, którego trzeba było się szybko nauczyć. Na poziomie społecznym nie było problemu. Do pewnego czasu nie można było do Polski przenieść np. kultury kulinarnej, bo nie było odpowiednich produktów. Dla Shivana szokiem było pierwsze spotkanie z zupą ogórkową: jak można robić zupę z ogórków kiszonych. Nie smakowała, a teraz jest jedną z jego ulubionych zup.

Nermend i Fate najbardziej związani czują się z miejscami, w których mieszkają (Mierzyn, Przeclaw), a również z województwem, którego tożsamość w ostatnim czasie się tworzy. Zachodniopomorskie uważają za region, w którym można jeszcze wiele zrobić. Sam Szczecin także ich zdaniem zaczyna się zmieniać na lepsze, choć w pierwszej dekadzie XXI wieku nie miał szczęścia do władzy i osłabił go upadek stoczni. Dziś odczuwają atmosferę stulecia niepodległości, a bardzo ważnym momentem był dla nich pierwszy udział w polskich, demokratycznych wyborach. To był moment poczucia współdecydowania i współodpowiedzialności.

W rozmowie uczestniczyli Kesra Nermend i Shivan Fate.

Polacy to otwarty naród. Kiedy już się jest wśród Polaków, są przyjaźni i ciekawi drugiego człowieka.

(Shivan Fate)

→

Kesra Nermend





W cieniu emigracji bliskich. Rodzina Piłatów

Nakaz pracy ze skierowaniem był często pierwszą przyczyną osiedlania się w województwie zachodniopomorskim. Tak było też w przypadku Wandy Piłat, matki Jana, która pochodziła z Dębna, wsi pod Kielcami. Pani Wanda pamięta czasy wojny, choć była wtedy dzieckiem. Nadal żywe jest jej wspomnienie, gdy Niemcy zgonili ludzi pod kościół i rozstrzelali 29 osób. W 1954 r. przyjechała do ówczesnego województwa szczecińskiego. Po zgłoszeniu się w Łobzie wybrała najbliższą miejscowość Zajezierze, położoną najbliżej Drawska Pomorskiego, gdyż w Gudowie pod Drawskiem mieszkała już jej ciotka.

W pierwszą podróż na Pomorze Zachodnie Wanda Piłat (wówczas Kolasa) udała się ze swoim ojcem, który był leśniczym. Na początku pani Wanda uczyła matematyki, fizyki i chemii w szkole w Zajezierzu. Po przyjeździe na Pomorze zaskoczył ją postęp technologiczny. Kiedy opuszczała Kielecczyznę – nie było tam światła; na Pomorzu Zachodnim zastała prąd, światło, radio, telewizory.

*Z czasów wojennych pamiętam
przelatujące samoloty
i przemarsz wojsk niemieckich.
Ale też radość, jaka panowała
po zakończeniu wojny.*

(Wanda Piłat)

←

Jan Piłat



Mój teść, Jan Kolasa, nigdy nie przeklinał. Używał tylko powiedzenia „psiunkrew”, którym zastępował wulgarne słowo.

(Jan Piłat)

Rodzina Piłatów była bardzo zżyta ze sobą. Tą więź emocjonalną przywieźli ze sobą na Pomorze. Ojciec Jana Piłata przybył tu w 1946 roku z Lubelszczyzny. Prowadził gospodarstwo rolne, później pracował w GS -ie i w PGR-ze. Tam poznał swoją przyszłą małżonkę.

W czasach PRL-u żyło im się stosunkowo spokojnie. Rodzina nie angażowała się w działalność antykomunistyczną. Spokój zburzyło wprowadzenie stanu wojennego. Kilka miesięcy wcześniej Andrzej Piłat, brat Jana, wyjechał na zarobek do Niemiec, zaś jego żona została w Szczecinie, gdzie mieszkali. Pani Wanda nie mogła skontaktować się z rodziną. Jej synowa, żona Andrzeja, w nocy z 12 na 13 grudnia jechała do męża. Na dworcu Szczecin Niebuszewo ogłoszono stan wojenny. Wiele osób wysiadło z pociągu, ale synowa

Wandy Piłat zdecydowała się jechać dalej. Wraz z mężem zostali w Niemczech, w okolicach Dortmundu. Tam urodziło im się dwóch synów. Starszy z synów skończył studia w Niemczech, a obecnie także pracuje w firmie w Stargardzie.

Powiew wolności dla Jana Piłata przyszedł po zakończeniu stanu wojennego. Pan Jan zaczął wtedy podróżować do Niemiec. Gorzej wspomina późniejszy okres transformacji – na terenach wiejskich był to czas niesprawiedliwości, masowych zwolnień, bezrobocia i ubóstwa. Także szybki postęp technologiczny przyczynił się do zwolnień pracowników.

Dziś Jan Piłat jest rencistą. Przepracował 35 lat przy produkcji zwierzęcej jako zootechnik. Cieszy się z niezależności, wolności i niepodległości Polski, choć jego zdaniem za dużo jest w naszym kraju kapitału zagranicznego. I choć dwójka jego dzieci mieszka w Anglii, on deklaruje, że nigdy się stąd nie wyprowadzi, że kocha Polskę i Polaków.

W rozmowie uczestniczyli Wanda Piłat i jej syn Jan.

Po transformacji osoby ciężko pracujące straciły z dnia na dzień pracę, zaś osoby decyzyjne wykorzystały okazję.

(Jan Piłat)

Trzy pokolenia Szczecina. Rodzina Siewierów

W rozmowie z rodziną Siewierów aktywny udział bierze dziewięcioletni Wojtek. Ożywia się zwłaszcza przy pytaniach o Szczecin. Miasto kojarzy mu się z radością i szczęściem, z rzeką Odrą i jeziorem Dąbskim. Jego dziadkowie pamiętają inny Szczecin. Pani Stanisława, babcia Wojtka, wspomina dziś pierwszy widok, który ujrzała w tym mieście: ruiny Czerwonego Ratusza.

Stanisława Siewiera pochodzi z Płociewicz koło Nowogródka (dziś Białoruś), z rolniczej rodziny. Z dzieciństwa pamięta smak blinów, pierogów, wielu prostych, ale smacznych potraw z kapusty. W 1946 r. wraz z rodziną przyjechała do Lipian. Jej ojciec prowadził kuźnię w Mielęcinie, jednak potem pod wpływem nacisków władz przenieśli się do Lipian. Sama Stanisława przyjechała do Szczecina w wieku lat 14. Od 1958 r. chodziła do technikum ekonomicznego. Czuła wtedy dużo lęku – przed samotnością, przed życiem w niebezpiecznym „mieście gruzów”.

Jej mąż, Kazimierz Siewiera, pochodzi z warszawskiej Pragi, z rodziny kolejarskiej. Pamięta Powstanie i płonącą warszawę. Siewierowie przyjechali do Szczecina w 1946 roku, kiedy dziadek, kolejarz, został przenie-

Na spotkaniach po wojnie śpiewaliśmy, wspominaliśmy dawne czasy. Czuliśmy się wolni do momentu, kiedy ojcu kazali wstąpić do spółdzielni rolniczej, grozili utratą pracy.

(Stanisława Siewiera)

→
Rodzina Siewierów od lewej: Kazimierz, Stanisława, Krzysztof, z przodu: Wojtek



Wejście Rosjan z początku odebraliśmy dobrze, byli tam przecież polscy żołnierze, berlingowcy; nikt nie patrzył, że nie mają orzełków na czapkach. Wszystko było dobrze do ogłoszenia manifestu PKWN. Wtedy skończyła się „miłość”.

(Kazimierz Siewiera)

sion służbowo. Zamieszkali w mieszkaniu przy ulicy Dworcowej, a później znaleźli dom na Pogodnie. Pamięta też ruiny, ale też piękno Wałów Chrobrego i zieleń Pogodna. Jego rodzina była bardzo przywiązana do patriotycznych wartości. Było to wówczas powszechne. Marszałek Piłsudski był w rodzinie idolem.

Rodzina pana Kazimierza dobrze czuła się w Szczecinie, choć do 1956 roku nie było pewności co do przyszłości miasta. Mały Kazik chodził do zrujnowanego zamku chodzili na wagary. Od młodości kochał wodę: uprawiał żeglarstwo, pływał w marynarce wojennej, w rybactwie dalekomorskim – jego życie zawodowe znaczą nazwy takie jak Gryf, Transocean, PŻM czy Polcargó.



Oboje z przyszłą żoną uwielbiali uprawiać sport. Pani Stanisława uprawiała gimnastykę, lekkoatletykę, siatkówkę i piłkę ręczną, a jej mąż – gimnastykę przyrzędowną w Sparcie Szczecin, piłkę ręczną, siatkówkę, potem żeglarstwo.

W politykę się nie angażowali po żadnej stronie. Myśleli o Polsce jako o państwie niepodległym, ale byli też świadkami opresji. Kazimierz podczas większości ważnych wydarzeń był w morzu, także w czasie stanu wojennego. Mimo że był łącznościowcem, nie miał wtedy kontaktu z żoną. Kilka razy miał możliwość pozostania za granicą – namawiali go do tego znajomi w Kanadzie. Jednak chciał wrócić do domu. „Tu się urodziłem. Jaki ten dom był, taki był – ale był mój” – mówi. Pytani o niepodległość, Siewierowie podkreślają, że trzeba jej pilnować, by jej nie stracić, i by nie przestać rozmawiać w chwilach narodowych sporów. Wszystkie trzy pokolenia podkreślają, że Szczecin jest w ich sercach, jest ich rodzinnym miejscem. Krzysztofowi, ich synowi, a ojcu Wojciecha, miasto kojarzy się z Dniami Morza, kolorami, tłumem, statkami, słoneczną pogodą i zapachem waty cukrowej. Wojtek czeka na budowę nowego aquaparku.

W rozmowie uczestniczyli dziadkowie: Stanisława Siewiera i Kazimierz Siewiera, ojciec – Krzysztof Siewiera oraz ich syn i wnuk, Wojciech Siewiera.

*Jeździłem jednym trabantem
12 lat, jako człowiek bezpartyjny.
Partyjny kolega zmienił w tym
czasie 3 samochody.*

(Kazimierz Siewiera)



Radość z ciągłości.

Rodzina Sobolewskich

Oboje rodziców Antoniego Sobolewskiego – Annę i Wojciecha – łączą korzenie z innych kultur. W przypadku pani Anny – niemieckie, w przypadku pana Wojciecha – węgierskie.

Rodzina Anny pochodzi z Wielkopolski. Jej pradziadek – polski ułan – ożenił się z Niemką. Dziadek Antoni – także wojskowy (po którym Anna nazwała syna) poznał się z babcią Marią (pół Polką, pół Niemką) podczas powstania wielkopolskiego. Dziadek Antoni miał w rodzinie nieco ironiczny pseudonim „Król Polski”. Z wielkopolskich czasów przetrwała kulinarna tradycja makiełek i modrej kapusty.

Rodzina ze strony ojca, Wojciecha, pochodziła z Ukrainy. Ojcem jego matki był z Węgier z rodziny Petryków. Petrykowie przyjechali do Polski, do pracy przy koniach, niedaleko Dąbrówki. Ojciec Wojciecha został powołany do wojska i po wojnie skierowany został do Szczecina, był w KBW. Jego matka w czasie wojny pracowała przy obsłudze pieca w Urzędzie Miejskim, a na koniec wojny skierowano ją do pracy w kopalni. Anna i Wojciech poznali się w Pabianicach. Anna

Gdy dziadek chciał się zapisać do partii, babcia mu to wybiła mu to z głowy. Przez pewien czas chodził na zebrania. Któregoś razu na takie zebranie przyszła babcia i powiedziała do innych „towarzyszy”: Jeśli wy przyjdziecie i zrobicie za niego domowe obowiązki, to może siedzieć na zebraniach.

(Antoni Sobolewski)

←

Rodzina Sobolewskich od lewej: Antoni, Aleksander, Anna, Piotr, Wojciech, z przodu: Maja

dzisiaj jest na emeryturze, wcześniej jako absolwentka warszawskiej SGGW pracowała w ogrodnictwie. Wojciech jest marynarzem. Ukończył Wyższą Szkołę Morską w Gdyni. Żonę poznał w harcerstwie w Pabianicach, chodzili również razem do liceum. Tam wzięli ślub, tam też urodził się Antoni. Gdy miał cztery lata, w 1981 r., małżeństwo Sobolewskich przeprowadziło się do Kołczewa nieopodal Międzyzdrojów. Tam wykupili gospodarstwo, które prowadzili wraz z małżeństwem, z którym założyli spółkę. Wspominają ten czas dobrze. Jednak nie powiodły im się sprawy zawodowe i z tego powodu – razem z hodowanymi wcześniej królikami i kurami i z dwiema wannami wypełnionymi węglem – przyjechali jelczem do Szczecina, gdzie zamieszkali w dzielnicy Gumieńce.

W Polsce obecne były i są złudzenia. Ja nie miałem złudzeń.

(Wojciech Sobolewski)

Antoni wspomina dzisiaj wrażenia z Kołczewa, gdzie jeździł ciągnikiem, i ze szczecińskiego dzieciństwa: zabawy na trzepaku i budę transformatorową, która służyła jako bramka. Miło wspominają dawny Teatr Lalek „Pleciuga”, mimo iż budynek był brzydki. Antoni mówi też o bałaganie na lekcjach historii – szkoła nie potrafiła stworzyć spójnej narracji dotyczącej Zachodniego Pomorza. Przed 1989 r. mówiono o „ziemiach piastowskich”, po transformacji nikt nie wie-

dział, jak opowiadać o historii. Tymczasem otworzyły się przedsiębiorstwa, powstały nowe sklepy, budziła się nadzieja.

Urodziłam się w Polsce, mieszkam w Polsce i mam nadzieję, że umrę w Polsce.

(Anna Sobolewska)

Rodzina nie angażowała się w politykę. Wkładem w społeczność była – jak mówią dzisiaj – ciągłość rodu. Przez lata PRL-u Sobolewscy mieli wiele nadziei co do dalszych losów państwa. Nie wszystkie marzenia się spełniły, ale życie rodzinne uważają za szczęśliwe. „To była kupa szczęścia i do tej pory w niej siedzimy” – mówi nieco ironicznie pan Wojciech. Rodzina Sobolewskich, jak i Polska, ma różne momenty w swoich dziejach – ale najważniejsze, że ciągle jest tą samą rodziną.

W rozmowie udział brali Anna Sobolewska, jej mąż Wojciech i syn Antoni.



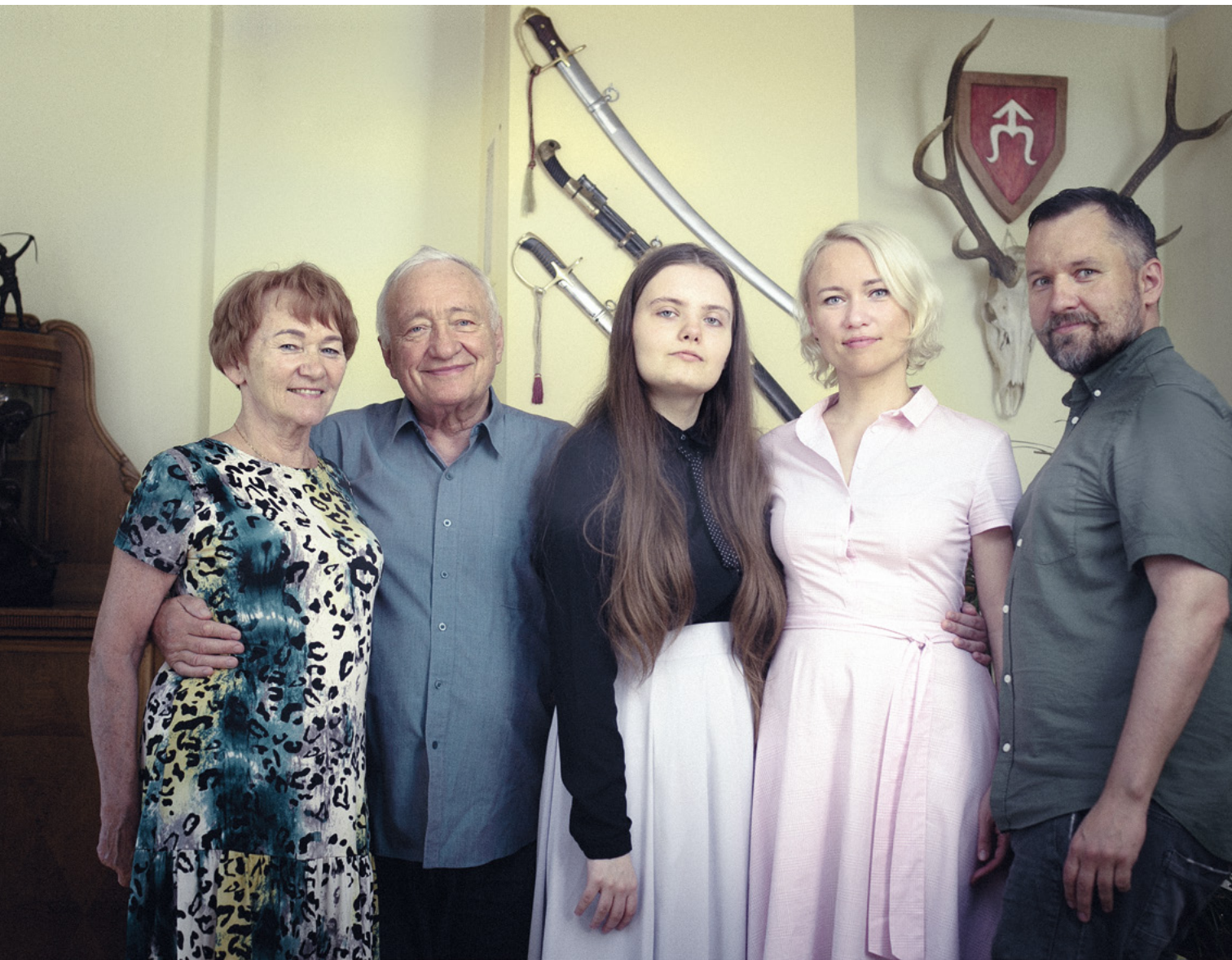
W podzielonym społeczeństwie. Rodzina Wielgoszewskich

Dzisiejszej rodziny Wielgoszewskich nie byłoby w takim kształcie, gdyby Włodzimierz Dzieścielewski, ojciec pani Grażyny (później Wielgoszewskiej) nie przejął nazwiska innego więźnia w obozie w Oświęcimiu. Dzięki temu udało mu się przeżyć, choć jako więzień polityczny był skazany na stracenie. Matka pani Grażyny w czasie wojny pracowała w Sandomierzu, skąd wysyłała paczki do obozów. Jedna z nich trafiła do Włodzimierza Dzieścielewskiego. Ten przyjechał, by podziękować, i tak poznał swoją przyszłą żonę. Do Szczecina przyjechali już w 1946 r. Tam dwa lata później urodziła się pani Grażyna.

Rodzice Zbigniewa Wielgoszewskiego poznali się w Niemczech, gdzie pracowali niewolniczo w niemieckim gospodarstwie rolnym. Matka Zbigniewa była Ukrainką z starej rodziny kozackiej, a ojciec pochodził z rodziny chłopów-gastarbeiterów. W 1934 r., gdy Hitler wyrzucał Polaków, osiedlili się w Łódzku. W czasie wojny ojciec Zbigniewa znów trafił do Niemiec, tym razem do pracy przymusowej, i tam poznał swoją przyszłą żonę. Po wojnie jako członek chłopskiej organizacji młodzieżowej został oddelegowany do Szczecina, gdzie pracował w UB, a potem w Służbie Bezpieczeństwa.

Ojciec, przedwojenny harcerz i oficer, był bardzo katolicki. W czasie wojny odwrócił się od kościoła między innymi pod wpływem przeżyć obozowych, kiedy to ksiądz spowiadał za kromkę chleba. Od tego czasu stracił wiarę, ale nie przeszkadzało mamie być katoliczką.

(Grażyna Wielgoszewska)



*Poszedłem pracować do milicji
i w wypadkach grudniowych
zostałem postrzelony w piętę.
Postrzelił mnie kolega.
Dopiero po trzech godzinach
zorientowałem się, gdy krew
zaczęła mi chlustać. Potem
leżałem w szpitalu z tymi, którzy
pod stocznią dostali kamieniami.*

(Zbigniew Wielgoszewski)

Zbigniew Wielgoszewski mówi o sobie, że jest „dzieckiem Niebuszewa”. Dzielnica w czasach jego dzieciństwa była przestrzenią gruzu i spalonych budynków. Pani Grażyna też pamięta gruzy, ale też las Arkoński i stojące wówczas na wieży Quistorpa olbrzymie posągi. W liceum i Zbigniew, i Grażyna zajmowali się lekkoatletyką, i przy tej okazji poznali się. Ta pasja przetrwała wiele lat – jeszcze w czasie studiów medycznych Pani Grażyna reprezentowała Polskę na zawodach studenckich w Sofii. Pan Zbigniew skończył technikum budowlane, oficerską szkołę MSW i Akademię Spraw Wewnętrznych. Później pracował w milicji, a jego żona – w szpitalu (pracowała jako chirurg). Pamiętają dawną szczecińską wielokulturowość, żydowskich kolegów ze szkół przed rokiem 1968, intensywne życie towarzyskie.

§ 1.

Na terenie miasta Szczecina wprowadza się do odwołania godzinę milicyjną obowiązującą od godz.18-ej do godz.6-ej. W tym czasie obowiązuje z a k a z przebywania na ulicach i placach publicznych.

§ 2.

O osoby udające się w czasie między godz.18-tą a 6-tą do pracy w uspołecznionym zakładzie pracy obowiązane są na żądanie organów Milicji Obywatelskiej okazać odpowiedni dokument.

§ 3.

Kto wykracza przeciwko zakazowi określonemu w niniejszym zarządzeniu podlega karze grzywny w wysokości do 1.500 zł. Orzecznictwo następuje w trybie przepisów karno-administracyjnych.

Ze względu na miejsce pracy pana Zbigniewa, rodzina była poddawana naciskom politycznym. Jego żonie sugerowano, by zapisała się do partii, jednak się nie zgodziła – nie chciała angażować się w politykę. Mąż poparł ją.

Sytuacja zawodowa Wielgoszewskich powodowała też, że odczuwali na własnej skórze ówczesne podziały społeczne. Dziś pani Grażyna twierdzi, że wówczas istniały dwa światy – „ludzie ze stoczni i cała reszta”. Po 1991 r. skończyły się etaty milicyjne w szpitalu i musiała odejść na emeryturę. Później pracowała w społecznej służbie zdrowia, tworzyła poradnię chirurgiczną w przychodni przy ul. Starzyńskiego, obecnie pracuje w przychodni niepublicznej.

Oboje kochają Szczecin, choć podkreślają, że miasto nie miało nigdy dobrego gospodarza. Pan Zbigniew interesuje się architekturą, i podkreśla, że zna 40 gryfów w Szczecinie. Oboje tęsknią jednak za zielenią, której kiedyś było więcej. W Szczecinie urodziły się ich dzieci i wnuki – tak na Pomorzu Zachodnim trwa już trzecie pokolenie rodziny.

W rozmowie udział brali Grażyna Wielgoszewska i jej mąż Zbigniew.

— — — — —

*Kiedy naciskano na nas,
bym zapisała się do partii,
tak powiedział mój mąż:
„Moja żona stwierdziła,
że w jeżeli partii będą tacy
ludzie, jak są teraz, to ona się
nie zapisze”.*

(Grażyna Wielgoszewska)



Kazachstan, zurek i sajgonki. Rodzina Wierzchowców

Szczecin przyjmował ludzi z różnych stron Polski i nie tylko. Rodzina Pawła Wierzchowca nie pochodzi z kresów wschodnich, skąd wywodzi się wielu mieszkańców miasta, ale z Częstochowy i spod Bydgoszczy. Jego babcia z rodziną dotarła do Szczecina przez Koszalin. Na tym „dzikim zachodzie” szukali swojego szczęścia i drogi na przyszłość. W tamtych czasach – opowiada Paweł Wierzchowiec – mówiło się, że te tereny są bogate, mniej zniszczone, że są tu wille, domy i inna infrastruktura; że na Pomorzu Zachodnim będzie się żyło lepiej, przyjemniej, wygodniej. Rzeczywistość okazała się inna: zniszczone mosty, brak oświetlenia, niebezpieczne ulice o zmroku.

Jednak ostatecznie rodzina pozostała w regionie i rodzice Pawła są już rodowitymi szczecinianami. Nie wiele tradycji rodzinnych przetrwało – pan Paweł pamięta tylko smak żurku z ziemniakami w środku, który uwielbiał jego dziadek. Jednak tradycyjne smaki znane w rodzinie Pawła zmieszały się ze smakami z domu żony, czyli z kuchnią ze Wschodu. Historia Poliny, żony Pawła, jest dużo bardziej nietypowa. Pani Polina Wierzchowiec jest repatriantką. Urodziła się

*Kiedyś miałam myśl,
by stworzyć mapę, pokazującą,
gdzie mieszkali moi przodkowie.
Te migracje są naprawę bardzo
duże – od Berlina aż po Ocean
Spokojny.*

(Polina Wierzchowiec)

←

Rodzina Wierzchowców od lewej: Paulina, Igor, Paweł,
z przodu: Urszula

w Kazachstanie. Jej dziadek ze strony ojca był Rosjaninem, w rodzie miała też Ukraińców. Ojciec urodził się już na Syberii, gdzie cała rodzina pracowała przy budowie kolei transsyberyjskiej. W pewnym momencie, kiedy na Syberii było bardzo ciężko, cała rodzina przeprowadziła się do Kazachstanu. Ojciec Poliny skończył tam studia, tam poznał swoją przyszłą żonę, i tam też urodziła się ich córka. Jej rodzina ze strony matki pochodziła z Oszmian (dziś Białoruś) i spod Żytomierza. Babcia pracowała jako telegrafistka na Syberii.

*Moi dziadkowie pamiętali czasy,
kiedy każdy mógł zasiedlić
jakikolwiek mieszkanie czy
dom, i trzeba było bronić
zdobytego majątku, nawet
strzelając.*

(Paweł Wierzchowiec)

Paweł barwnie opisuje doznania zmysłowe ze szczecińskiego dzieciństwa: niezapomniany smak wody „gruźliczanki” przy Bramie Portowej, zapach i smak tostów z „Kogucików” przy Bramie Portowej, i smaki, które towarzyszą mu niemal do tej pory: to produkowany w Szczecinie (z odpadów cukierniczych...) czekoladowy blok „Bambo”, oranżada z woreczka, pita zawsze w wakacje. Szczecin kojarzy mu się z zielenią i błękitem, a Pogodno, dzielnica, z którą jest związa-

ny – z kolorem żółtym i niebieskim (jak żółte, pogodne słońce i niebieskie tło nieba). Najlepiej wspomina nieistniejące już miejsca, takie jak „Grzybek” przy Bramie Portowej, przy którym szczecinianie umawiali się, i rozmontowana kilkanaście lat temu fontanna „Ściana Płaczu”. Rodzina Wierzchowców trzymała się z dala od uczestnictwa w działaniach opozycyjnych. Z lat 80. Paweł pamięta syreny i strajki, ale w domu nie mówiło się o tych wydarzeniach.

Pani Polinie po szkole średniej udało się dostać na studia w Polsce. Była stypendystką RP, a po studiach starała się o repatriację – i udało się w 1998 roku. Zna więc już Szczecin po transformacji ustrojowej. Pamięta zabawy w studenckich klubach, kurz i drewnianą podłogę klubu „Trans”. Tradycje kulinarne ze wschodu było jej trudno odtworzyć w Polsce – gdy wyjeżdżała, nie umiała dobrze gotować, a niektóre składniki, takie jak baranina, trudno było w Szczecinie odnaleźć. Pamięta natomiast zapachy Placu Kościuszki – kiosku z warzywami oraz smażonych bananów i sajgonek z kontenera obok. Jej rodzice nadal mieszkają w Kazachstanie i od czasu do czasu odwiedzają Wierzchowców.

W rozmowie udział brali Paweł Wierzchowiec i jego żona, Polina.



Miasto nasze, port nasz. Rodzina Wojtczaków

Danuta Wojtczak (z domu Muszyńska) pokazuje przedwojenne zdjęcia, na których widać uśmiechnięte i szczęśliwe dziewczynki z rodzicami. Te dziewczynki to pani Danuta i jej siostra. Danuta przyszła na świat w 1931, w Białymstoku. Do 1939 rodzina prowadziła szczęśliwe i dostatnie życie, bo ojciec – pochodzący z Łodzi – piastował wysokie państwowe stanowisko. Jeszcze przed wybuchem wojny aresztowano go wraz z innymi. Nikt nic nie wiedział o losie aresztowanych. Jedynym znakiem był wyrzucony przez kogoś z pociągu szalik z doczepioną kartką, na której napisano: „Wiozą nas na wschód, nie wiem czy wrócimy”. W 1940 podobnym pociągiem wywieziono panią Danutę z siostrą, mamą i babcią. Trafiły na Syberię, gdzie głód, czerwonka i zimno były codziennością. Sytuację trochę zmieniło powstanie Związku Patriotów Polskich – rodzina pani Danuty szybko skorzystała z okazji i przenieśli się z kolchozu do Bijska, gdzie było nieco lepiej, a Danuta mogła uczyć się w jednej z polskich szkół.

Z Bijska udało się wrócić w komplecie do Polski do Białegostoku w 1946 r. Kobiety miały nadzieję, że do-

*Słowo „Niepodległość”
oznaczało ogromną radość.
Czuję niedosyt, że młodzież
nie zdaje sobie sprawy w jakich
dobrych czasach żyje. Oni nie
doceniają tego. Mało się
o tym mówi. Co, ja będę o tym
wnukom opowiadać? A oni:
„Oj, babcia...”*

(Danuta Wojtczak)

→

Danuta Wojtczak



wiedzą się czegoś o losie ojca pani Danuty, niestety, przez wiele lat nie odnalazły żadnych śladów. O jego dziejach dowiedziały się dopiero po powstaniu IPN.

Rosyjscy kolejarze pytali: „Za co was wiozł?” Odpowiadaliśmy: „Bo jesteśmy Polakami”.

(Danuta Wojtczak)

Pierwszy raz do Szczecina Danuta Muszyńska przyjechała w 1949 w ślad za swoją siostrą Cecylią, która

w tym czasie już w Szczecinie mieszkała i studiowała. Porównanie Białegostoku i Szczecina wypadło na korzyść tego drugiego. W mieście były piękne budynki, szerokie ulice, po których jeździły tramwaje. W 1950 p. Danuta na stałe zamieszkała w wynajmowanym pokoiku w dzielnicy Łękno. Niebawem na Cieszkowskiego zamieszkał także następny lokator, przyszły mąż pani Danuty – Czesław Wojtczak, który podobnie jak jej ojciec pochodził z Łodzi. Do Szczecina przybył spod Berlina z niemieckiej fabryki Rosenthal, gdzie jeńcy i przymusowi robotnicy pracowali dla machiny wojennej Hitlera. W latach 60. był założycielem i współorganizatorem Wojewódzkiego Związku Spółdzielczości Pracy w Szczecinie. Żona i córka wspominają go jako wspaniałego gawędziarza.



Z początków życia w niepodległej Polsce pani Danuta pamięta wyjazdy pociągiem do Poznania, do opery. Wyjazdy organizował zakład pracy, a w trakcie jazdy krzyczeli przez okna, ile sił w płucach „Szczecin nasz, Szczecin port nasz”. Potem Danuta Wojtczak jakiś czas pracowała w Stoczni Remontowej Gryfia, gdzie zorganizowała zespół taneczny. PRL wspomina jako czas, kiedy ludzie byli bardziej zżyci ze sobą, częściej się odwiedzali, więcej się bawili. Było mało telewizorów, a kiedy przychodziło się do kogoś „na telewizor”, i tak dużo się rozmawiało. Z drugiej strony, w PRL-u pani Danuta doświadczyła też zniewolenia. Gdy na pochodzie pierwszomajowym kazano jej nieść portret Stalina, zdecydowanie odmówiła, za co wyrzucono ją ze szkoły, zdegradowano w pracy, nie mogła zdawać na studia. Maturę zdała, pomimo obecności w komisji tzw. „czynnika społecznego” – osoby oddelegowanej do zadawania dodatkowych pytań. Solidarność wykazali profesorowie z liceum, którzy pomagali jej jak mogli w przygotowaniach.

Rodzina państwa Danuty i Czesława Wojtczaków to dziś także dwie córki oraz kilkoro wnuków i prawnuków z rodzinami. Pani Danuta nie zamieniłaby Szczecina na żadne inne miasto, nie odczuwa nawet chęci odwiedzenia Białegostoku. Jest szczecinianką z wyboru i świadomie podjętej decyzji – już całe 69 lat.

W rozmowie uczestniczyła Danuta Wojtczak, zd. Muszyńska.

*Gdy kazano mi nieść portret
Stalina, powiedziałam
jednoznacznie i natychmiast:
„Nie zrobię tego, 6 lat mnie głodził,
ojca mi zamordował, więc teraz
pocałuj w d... swojego Stalina”.*

(Danuta Wojtczak)

15
lat



stowarzyszenie
czas
przestrzeń
tożsamość

15 lat | 1000-ce pytań i uśmiechów | ponad 100 projektów | 30000 odbiorców i działań
50 debat | 40 wydawnictw | 20 wystaw | 38 drzewek pamięci | 5 honorowych obywateli
40 targów i konferencji | 400 partnerów | 15 innowacji społecznych



